

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Gdzie Bóg mieszka.

Gdzie Pan Bóg mieszka? O! moje dziecko,
Pan Bóg jest wszędzie na naszym świecie,
Mieszka na ziemi, mieszka i w niebie,
Na każdym miejscu, i w każdej porze.
Czuwa nad wami, spieszy w potrzebie,
Któż wielkość Jego wychwalić może?
Kto potrafi zliczyć te dary,
Jakie z rąk Boga bierzesz codziennie,
Te źródła łaski jakie bez miary,
Niosą nam blaski słońca promienne?
Pan Bóg jest wszędzie, lecz chętniej gości:
Gdzie są ubodzy, mali i prości,
Gdzie człek bez pychy wypełnia cnoty,
Zawsze drugiemu przebaczyć skory,
Pośród miłości, pracy, pokory,
Wspomaga biednych, tuli sieroty.
Pamiętaj dziecko, byś zawsze w bieli
Chodził, jak chodzą święci Anieli,
Abyś jak skromny, cichy fiolek,
Chronił swą głowę w trawek gąstwinach,
W sercu zbudował Bogu kościółek,
Był w słowach szczerzy i prosty w czynach.

HALUSIA.

(Pastuszką gąsek.)

(Dokończenie.)

Zdumiony ojciec spojrzę na matkę, i nie wie co mówić, a zdumiona matka spojrzę na ojca i milczy; nie mogą słowa przemówić, tak im ciężko na sercu; oczy zalały się łzami. Wcale nie wiedzą, co to znaczy. Często Halusia tak dziwnie mówiła, że jej nie pojmowali, ale jeszcze nigdy im tak smutno, tak żałośnie nie było jak dzisiaj. Stoją i płaczą i nie do siebie nie mówią. Halusia po cichu wyszła do komory i lekko drzwi zawarła. Już zadumany ojciec zabiera się do dziennej pracy; już zapłakana matka krzątać się zaczyna po izbie, aż tu gdy mają zacząć poranne modlitwy z dziećmi i czeladką, słyszą w komórcie anielskie pieśń, a głosy z nieba pięknie wtórują. Matka struchlała, ojciec zadrżał, dzieci i czeladź trwoga ogarnęła. Chwilejąc się na nogach, otwiera matka drzwi do komory i widzi Halusię swą ukochaną w trumience leżącą z zielonym wiankiem na głowie, liczka bledziuchna jak śnieg, oczki zamknięte, rączki bieluchne na piersiach na krzyż złożone, usteczka martwe, ale tak uśmiechające, tak anielskie, jakby przemówić chciały: Nie smućcie się, mnie tak dobrze w niebie.

O Boże! — krzyknęła matka żałośnie, umarła, już umarła moja najukochańsza Halusia — myśmy jej nie byli warci — ona była z nieba i tam poszła? Z załamaniem rękoma padła nieboga od żalości i bólu na ziemię.

— Niewiasto! — zawołał mąż podnosząc ją z ziemi, tyś była matką anioła, ty matko anioła, bądź teraz moją siostrą, moją panią.

Wśród zielonej doliny u stóp wysokich Karpat, płynie jeszcze rzeczka Skawa, jak płynęła przed laty; stoi jeszcze piękne wzgórze, jak stało przed wieki; ciemnia się jeszcze Karpaty i wieże krakowskie jak dawniej, ale niema tam już ni onej włoski na wzgórzu, ni onej chaty wśród zielonych grusz i jabłoni, ni owej kapliczki na polu. W proch się już rozsypały zwłoki Halusi, tylko brzoza na jej mogiłę co rok zielonem liściem się odziewa, a na tej brzozie czasem polny ptaszek usiadł i zaśpiewa, jak bywało onego czasu, kiedy Halusia gąski pasła w dolinie nad rzeczką.

KONIEC.



O królewiczu i wilku

(Ciąg dalszy.)

Królewicz wsiadł na wilka i w parę godzin stanął przed zamkiem, gdzie była złotowłosa dziewczica.

— Idź — rzecze wilk do niego, — do zamku tam wszedłszy, będziesz przechodził przez trzy pokoje, w których spać będzie wiele krasnych dziewczic; są one do usługi królewskiej. W czwartym pokoju spać będzie sama królowna w złotem łóżku, a szaty jej perłami, złotem i dyamentami ozdobione leżąc będą na stole. Nie bierzże, powiadam ci, szat ze stołu, ale samą królowną porwij i czempredziej się wynoś.

Królewicz doświadczeniami nauczony, usłuchał tą razą i śpiącą królowną prędko porwał z łóżka i czempredziej dążył ku wilkowi. Czas też był największy, że uciekł, albowiem dziewczeczki przebudzone szelestem zrobiły krzyk, ale królewicz już z królowną siedzieli na wilku, który czempredziej z niemi pędząc, w parę godzin stanął przed zamkiem, gdzie był koń ze złotą grzywą.

— Mam dziewczicę złotowłosą, — rzekł królewicz, wszedłszy do króla. — Chcę, abyś mi dał złotogrzywego konia, a dam ci ją; ale wprzód chciałbym z tą dziewczicą na tym koniu trzy razy zamek twój objechać.

— Możesz trzy razy mój zamek objechać w koło na złotogrzywym z dziewczicą, a potem mi ją oddasz, a konia sobie weźmiesz, — odrzekł król.

Królewicz wsiadł na konia, dziewczicę posadził przed siebie i trzykroć zamek objechał. Gdy atoli jechał po raz trzeci, dał koniowi ostrog i w momencie znalazł się za miastem. Tam stał wilk

i czekał na niego. I pędem puscili się, a w parę godzin stanęli przed zamkiem, gdzie był ptak ze złotem pierzem.

— Oto masz konia złotogrzywego, — rzekł królewicz, wszedłszy do króla. — Oddaj mi ptaka ze złotem pierzem. Ale chciałbym jeszcze na tym koniu razem z ptakiem i dziewczicą trzy razy zamek twój objechać.

— Możesz objechać trzykroć zamek jak chcesz, a potem oddasz mi konia, a ptaka i dziewczicę sobie weźmiesz.

Królewicz wsiadłszy na konia, objechał zamek. Gdy zaś po trzeci raz jechał, dał koniowi ostrog i w momencie znalazł się za miastem, gdzie już na niego wilk czekał. Pędem polecili w drogę ku domowi, a gdy już byli daleko, rzekł wilk do niego:

— Teraz masz wszystko, więcej niż chciałeś sam. Jedźże do domu, ale w drodze nie kupuj mięsa żywego.

To rzekłszy, zniknął mu z oczu a królewicz rozmyślał, co by to było za żywe mięso.

Gdy w jedno miasto wjechał, ujrzał cud niesłychany. Jego starsi bracia byli na śmierć prowadzeni i już mieli ją niechybnie ponieść. Królewicz gdy ich ujrzał, tak zaraz wybiegł do nich i wypytał się za co i w jaki sposób do takiego położenia przyszli. Ci mu powiedzieli, że po jego wyjeździe także puscili się w świat, ptaka złotopiórego odszukać, a iż w drodze narobili dużo długów, a nie mogąc ich zapłacić są na śmierć skazani. Brat młodszy użalił ich się i dług za nich zapłacił, czem ich od śmierci wybawił.

Atoli bracia starsi umówili się w drodze zabić tego, który im życie uratował, z tej przyczyny, że on może przed ojcem wszystko opowiedzieć, jak się z nimi przydarzyło, i tem ich przed ojcem zawstydził. A jeszcze i ze zazdrości, że nie onym, ale jemu tyle piękności udało się wyszukać i przyprowadzić, chcieli go zabić i to mu odebrać, a przed ojcem powiedzieć, że oni są rzeczywistemi właścicielami tych rzeczy.

Była obok drogi głęboka przepaść, w tę wrzucili najmłodszego brata, myśląc, że choćby się nie zabił, to też z niej nigdy nie wydostanie na wierzch.

Ale królewicz się nie zabił, a znany mu towarzysz, ów wilk, stanął nad przepaścią i zawołał na niego:

— Widział, królewiczu, nie usłuchałeś mnie. Patrz, do czego cię niewdzięczni bracia za twą dobroć przywieśli! Ale nie smuć się, będziemy jakoś radzić. Nazbierał różnej trawy i ukreślił długi powróż, a potem go do przepaści spuściwszy, królewicza wyciągnął.

Dok. nast.

ka
odp
tam
wne
cala
któr
proc
wied
dług
popł
czw
w w
Bóg
spra
się
nale
szla
czas
ca o
nlec
wzię
na z
wiek
uma

dow
nagl
nie
jedy
nowi
modl

Myśli i zdania.

Jak ty rodzice swoje,
Tak cię uczęzą działki twoje.

Kto często mówi „jakoś to będzie”,
Weześniej czy później pod płotem siędzie.

Bluźnierstwo.

W pewnej miejscowości, położonej nad rzeką W., było zwyczajem na wiosnę każdego roku odprawiać procesję do pobliskiej wsi. Droga tam dotąd była wybita nad rzeczną rzeką. Pewnego razu, gdy procesja z owej wsi już powracała, zdarzyło się, że z czterech młodzieńców, którzy nieśli obraz św. Józefa i na samym końcu procesji szli, trzech tę świętokradzką myśl wypowiedziało: „Święty Józefie, myśmy Cię już dosyć długo nieśli, możesz teraz sam sobie do domu popłynąć”. To rzekłszy wrzucili, pomimo, że czwarty młodzieniec temu się sprzeciwiał, obraz w wodę. Jeszcze tego samego roku wymierzył Bóg bluźniercom za dopuszczenie się tej zbrodni sprawiedliwość, albowiem dwóch z nich utopiło się w tej samej rzece; trzeci zaś utopił się w kanale niedaleko tej samej drogi, którą procesja szła; znaleziono go tam po wielkiej burzy, podczas której wody wezbrały i grzesznego młodzieńca o śmierć przyprawiły. Ow czwarty młodzieniec, który sprzeciwiał się grzesznemu przedsięwzięciu swoich towarzyszy i nie chciał zezwolić na znieważenie świętego obrazu, żył do późnego wieku w szczęściu i błogosławieństwie, a potem umarł naturalną śmiercią.

Skutki klątwy.

W pewnej rodzinie w miejscowości W. znajdowała się dziesięcioletnia dziewczynka, która nagle zapadła na dziwną chorobę, podczas której nie mogła nic innego wymówić, jak tylko pojedyncze szkaradne wyrazy, n. p. dyabeł; miałowicie działało się to wtenczas, gdy czytano jej modlitwy. Gdy pewnego razu odmawiałem gło-

śno litanią do Pana Jezusa, wykrzyknęła dziewczę, ile razy imię Jezusa wymówiłem! „Dyabeł! dyabeł!” Staralem się zbadać przyczyny tego niezwyklego zachowania się dziewczynki i dowiedziałem się, że w owej rodzinie bardzo wiele i często klątwy używano. Dziecko wkrótce potem umarło.

Ze tu palec Boży jest widoczny, zapewne nikt nie zaprzeczy.



Dobry przykład.

Pewnego dnia po południu siedział Marcinek przy stoliku i pisał zadanie, które nazajutrz miał oddać w szkole.

Wtem przychodzi do niego Ludwiś, kolega szkolny i rzecze:

— Przestań już pisać, a chodź ze mną czerpą! Ojciec Mikołajka kazał nam przyjść do sadu, gdzie obierają gruszki... Pewnie pozwoli nam nabrać do kieszeni tych przysmaków.

Marcinek przełknął ślinę na wspomnienie gruszek, lecz zastanowiwszy się trochę rzekł do Ludwika:

— Wszystkoby to było dobrze, ale iść z tobą nie mogę, bo muszę pisać zadanie, a ojciec mój zakazał mi wychodzić z domu, dopóki wszystkiego nie zrobię należycie.

— Ależ mój Marcinku! — powiedział Ludwiś — ja tobie nie odradzam byś nie pisał zadania, proszę cię tylko, żebyś ze mną poszedł do sadu, bo Mikołajek za pozwoleniem swego ojca prosił nas do siebie. Nie będziemy tam długo. Ojciec twój ani się dowie o tem, że wyszedłeś z domu. I mnie rodzice nie pozwolili oddalać się z domu, a przecież pobiegę na chwilę do sadu...

— To źle robisz — pszczał Marcinek.

— Ja zaś tego nie uczynię za nic w świecie, bym wychodził, gdy mi ojciec nie pozwolił.

— Więc nie pójdziesz?

— Nie pójdę; wolę zrobić swoje.

— A to siedź sobie; ja sam pójdę! — zawołał Ludwiś, i spieszenie wybiegł z pokoju.

W drodze jednak pomiarkował się i pomyślał sobie:

— Rzeczywiście Marcinek ma słusność. Lepiej napisać zadanie, a potem iść na gruszki. I to pomyślawszy, zwrócił się ku domowi. Zabrał się zaraz do pisania, i gdy pokończył lekcye, pozwolił mu ojciec pójść do Mikołajka, który przyszedł do niego.

Marcinek poszedł zaś napisawszy zadanie w pole i tam spotkał innych chłopców, z którymi bawił się wesoło.

— O jakże dobrze zrobiłem, że napisałem zadanie! — pomyślał sobie Marcinek, gdyż teraz nie mógłbym się tak bawić przyjemnie.

Rano wstał wesoły i ochoczo szedł do szkoły. Spotkał Ludwisia. Wita go uprzejmie, a Ludwiś mówi:

— O, jakże ci jestem wdzięczny, że mi poradziłeś pójść do domu. Nie poszedłem od razu do Mikołajka, napisałem pierwszej zadanie, a potem ojciec pozwolił mi pójść do niego. Teraz idę do szkoły a ojciec mój cieszył się, że wszystko wypełnił należycie. Dziękuję ci za to serdecznie!

— A widzisz mój Ludwisiu! — odrzekł Marcinek, że lepiej pracować, a następnie się bawić. Dobrze więc mówi pieśń, którą napisał Stanisław Jachowicz:

Gdym spełnił powinność moją,
To nikogo się nie boję;
Idę śmiało, patrzę w oczy,
Kto nie taki, niech mi zboczy!



Asem i królowa duchów.

(Ciąg dalszy.)

— Nie lękaj się niczego dobra kobieto, rzekła monarchini, a powiedz mi tylko, czy to prawda, że masz tak cudnie urodziwą synową?

— Ludzie tak utrzymują, najjaśniejsza pani! odparła stara; ja wiem tylko, że ona jest dobrą i że mi syna uszczęśliwia.

— Podoba mi się twa skromność kobieto, ciągnęła dalej Zobejda, chcę jednak sama przekonać się naocznie o tak sławnych wdziękach żony twego syna, rozkazuję ci zatem przyprowadzić ją tu zaraz przed me oblicze.

Matka Asema nie śmiała naturalnie odmówić królowej. Gdy oznajmiła o tem życzeniu żony kalifa swej synowej, piękna księżniczka duchów okazała radość wielką, przystroiliła się jak mogła najokazalej i wzięwszy za rączki obu swych małych synków, udała się ze świekrą do królewskiego zamku.

Gdy ją do sali przyjęć wprowadzono — zdumiona jej pięknnością Zobejda, z początku nie mogła przemówić i słowa; dopiero po kilku chwilach oprzytomniawszy trochę, zdołała wymówić

te słowa: „Na jakimże to czarownem miejscu stworzyły nieba taki cud przyrody, tyle przynęcających wdzięków w jednej istocie!” Potem wezwała przybyłą do zajęcia miejsca obok niej na tronie i ugościła ją i dzieci Asema chłodnikiem i ciastami. Potem zażądała, aby jej księżniczka opowiadała swoje dzieje, i jakim sposobem dostała się do Balsory.

— Potężna królowo! odparła żona byłego fałbierza, znajdujesz mię piękną w tym balsorskim stroju? A cóżbyś powiedziała, gdybym wzięła na się szaty, jakie noszą w mej dalekiej ojczyźnie, srebrem przetykane gazowe okrycie ze skrzydłami i czarodziejski pasek złotolity? Jeżeli sobie tego życzysz królowo, to rozkasz mojej świekrze, aby z domu przyniosła mi to ubranie. Ona nie ośmieli się odmówić twemu żądaniu.

Uszczęśliwiona tem przedłożeniem Zobejda, obiecując sobie wiele radości z widzenia czarodziejskiego stroju, kazała matce Asema biedz co tchu do domu i przynieść szaty żądane przez synową.

Posłuszna stara, choć przeczuwała coś niedobrego i lękała się gniewu syna, który jak najsurowiej zakazał otwierać skrzynię, w której były te szaty, nie śmiała jednak odmówić życzeniu królowej.

W półgodziny strój był już w pałacu i księżniczka duchów z licem płonącym z radości przywdziewała go w gorączkowym niemal pospiechu.

Gdy zdumiona Zobejda wyrażała okrzykami radości swój podziw z powodu świetności ubioru, księżniczka ciągle z nią rozmawiając, kroczyła zwolna ku podwojom galeryi i wyszła na podwórze pałacowe.

Teraz na wolnem powietrzu, pochwyciła nagle dzieci w swe ramiona i unosząc je w powietrzu, wobec oniemałych ze zdumienia królowej i niewiast jej, zawołała swej świekrze:

„Bądź zdrowa kochana mateczko — pociesz mego dobrego męża i zapewnij go o mojem niezmiennem przywiązaniu. Dłużej nie mogę być rozdzieloną z moimi, tęsknota za rodziną i za ojczyzną zabija mnie. Asemowi zaś powiedz, że jeżeli mnie bardzo kocha, a chciałby szukać po powrocie, to niech przybędzie do mnie na wyspę Waak al Waak, gdzie mój ojciec panuje.

To mówiąc, zniknęła z dziećmi w obłokach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

